



## PRENUMERATA WYNOŚI:

Rocznie wraz z przesyłką pocztową — 64 halerzy.

W Wielkopolsce i innych ziemiach zaboru pruskiego — 70 fenigów.

Adres Redakcji i Administracji: Lwów — Chorążczyzna 5.

Z zapomogi Wydawnictwa Imienia ś. p. Kasyldy Kulikowskiej.

## IDA KU TOBIE.

Idą ku Tobie, Pieśniarko nasza, zastępy tych, co twardą mają dołę, — idą z podzięką za pieśń i za serce...

Wielki, natchniony poeta widzi, niby prorok, przyszłość, a bólem dnia dzisiejszego boleje.

Więc i Ty, Pani, podnosisz wzrok ku złotym zorzom jutra i śpiewasz swemu narodowi o czasach dalekich, — o czasach tryumfu sprawiedliwości, gdy zgoda i braterstwo zapanują na świecie, a silny pójdzie razem ze słabym.

I Ty wiesz, jak się krwawi, jak boli zgębione i deptane chłopskie serce — Ciebie pali głód bezdomnego nędzarza i tęsknota do światła robotnika, którego życie upływa wśród zgrzytu i huku maszyn, — Ty płaczesz za Ojczyznę ciężkimi łzami wychodźców, którzy szukają za morzem pracy i chleba, a znajdują często rozpacz i tracenie.

A tęsknotę i łzy, ból i krew, które bierzesz z piersi milionów we własną swoją pierś, Pani, wypowiada pieśń Twoją, załośna, jak dola wydziedziczonych i jako płomień gorąca.

Pieśń ta zapada głęboko w duszę narodu, budzi w słuchaczach miłość dla braci od pług i młota, zapala w nich chęć czynu, aby „rozświt dnia biały prędzej rozbłysnął na ziemi“.

Więc w dzień Twego święta idą ku Tobie, Pieśniarko nasza, zastępy tych, którym dziś jeszcze mroczno i zimno na świecie, — idą z podzięką za pieśń i za serce dają serce...

Redakcja „Zorzy“.



C. Michał Krupa  
Urzędnik pom. pocztowy

## Marja Konopnicka do ludu.\*)



Die mogłam doznać większej radości i chluby nad to, iżście mi przyściem Waszem zaświadczyli w dniu tym, drodzy bracia moi, jakom jest blizka ludowi mojemu.

Bóg-że Wam zapłać za tę wielką i niezapomnianą chwilę! Bóg wam zapłć za dobre słowo, które tak poszło z serca, jak z krynicy woda!

Zdarzało mi się nieraz, żem się z ludźmi zrozumieć nie mogła; ale z ludem, z duszą ludu, — rozumiałam się zawsze. A nietylko z ludem, ale i z ziemią, na której lud siedzi.

Mówiła ona do mnie, jak matka, — jak matka frasobliwa o dolę swych dzieci. — W szerokiej cichości pól, w głuchych borowych szumach radziła, uradzała, co i jak począć, aby ta dola była dobrą, jasną. Piosenka moja, to tylko echo tego, co do mnie ziemia mówiła o was, bracia moi.

Ja się wsi nie uczyłam z książki.

Ja się z nią urodziłam w duszy. Ja z nią żyję, o niej myślę, a każda grudka ziemi, którą pługi wasze po ugorach kruszą, sypie się przez serce moje.

Pozdrówcie odemnie wasze pola, chaty, pozdrówcie swoich, którzy tam zostali!

Powiedzcie im, że jest moc, która dwoi siły, krzepi w pracy, cieszy w trosce, pomnaża dobro i zabiega kłesce. Powiedzcie im, że ta moc, to jedność czucia i braterstwo ducha w narodzie.

O, niechaj nam się przybliży dzień, w którym się moc ta uczyni nad nami!

\*) Słowami powyższemi odpowiedziała Marja Konopnicka na powitalne okrzyki ludu, zebranego przed gmachem »Sokoła« w chwili, gdy przybyła tam na główny moment obchodu jubileuszowego w dniu 19. października 1902 roku w Krakowie.



### Z łąk i pól.

*Temu tylko pług a socha,  
Kto tę czarną ziemię kocha,  
Kto ten zagon zna do głębi,  
Kogo rosa ta nie ziębi,  
Kto rodzinnych swoich pól  
Zna wymowę — łzy i ból!*

*Temu tylko ostra brona,  
Na kurhanach wyszczerbiona,  
Kto ukochał lud w siermiedze,  
Kto zna twardej doli nędze,  
Kto wyciągnął, jako brat,  
Dwoje ramion do tych chat!*

*Temu tylko kosa krzywa,  
Kto w przyszłość i wierzy żniwa..  
Kto po nocach cichych słucha  
Przyjścia zorzy, tchnienia ducha,  
Komu lemiesz, to dziś — miecz...  
A wy, zimni, z pól tych — precz!*

Marja Konopnicka.







MARJA KONOPNICKA

(według portretu pędzla Marji Dulębianki przerysował Damazy Kotowski.)

# Marji Konopnickiej

Z POD STRZECHY SŁOMIANEJ.



Słusznie do wielkich cnót zaliczamy strapionych pocieszać, a wątpiącym dobrze radzić. I jeżeli godny to człowiek ten, który widząc sąsiada, smutkiem przygnębitego, stara się go pocieszyć i podnieść na duchu, to stokroć godniejszy wdzięczności i prawdziwego szacunku jest ten, który dobrem, rozumem, a serdecznym słowem krzepi smutkiem i boleścią „przygnębitony naród“ i pociesza go w ogólnej niedoli.

A jeżeli takie słowa nadziei i zachęty potrzebne są narodowi, który ma własny byt polityczny, ma wolność, to ileż bardziej tacy aniołowie pocieszenia, potrzebni są narodowi zwalczanemu — narodowi, któremu od stu lat przeróżni grabarze śpiewają hymny pogrzebowe, aby upadł na duchu, zwątpił w zamartywchożycie i w obcy się naród przeobraził.

Takim duchem, który od lat 25-ciu głośno a śmiało śpiewa swemu narodowi pieśni, pełne nadziei w lepszą przyszłość, jesteś Ty, o serdeczna Rodaczk.

Obrałaś sobie pole najkrwawsze na ziemi, bo walkę o „prawdę nieznaną“, pole, na którym, jak piszesz: „Walą się gmachy posępną ruiną, gdzie bogi, wiary i idee giną“, — pole, nad którym już „sto słońc weszło i zgasło — sto ramion prawdę namiętnie chwyciło.... i sto serc pękło“ — i sztandaru tak wzniesłego, w który najwięcej grotów uderza, nie porzuciłaś ani na chwilę.

W czasach naszych zwłaszcza, ludzie dużo może i wiedzą i czują, ale nie śmiają, nie chcą, czy nie mają dosyć mocy i serca hańbę zwać hańbą, zbrodnię — zbrodnią.

Ty, Pani, miałaś odwagę prawdę bez obsłonek rodakom głosić.

A widząc, jak wielu w naszych czasach zwątpiło w jaśniejszą przyszłość i w niewolniczej pokorze upatruje jedyną dla narodu ścieżkę, wstrząsasz łańcuchami, aż ich brzęk

przypomina hańbę niewoli i wołasz: „Wy, co w pokorze umiecie cierpieć, co się dajecie bez boju zwyciężać, co w palącym się gmachu chowacie się w kącie, zamiast wyjść krokiem olbrzyma — Was minie przyszłość, do żyjących was nie wliczy, bo męże i ludy los taki wezmą, jakiego w sercu swem znają się godne“.

A wszystkich bez wyjątku łączyć chcesz w zbożną „gromadkę polską“, która powinna się rwać ku wielkiej przyszłości.

I powiadasz, że „biada temu, kto tam iść nie chce, i taki lepiej niech sobie zaraz kopie dół mogilny i zawczasu w grób ciemny się położy“. I jakże Cię, droga Pani, za takie złote ziarna nie kochać?

A jeżeli od całego narodu należy Ci się, Jubilatko, głęboki pokłon, to szczególnie serca chłopstwa polskiego powinny być Ci wdzięczne.

Bo jeżeli ukochałaś cały naród, to najbliższą Twego złotego serca jest polska wioseczka z kościółkiem niebogatym, z niskimi chatynkami, z ptaszkami i łąkami złocistego zboża, z szarym skowronkiem i łapiżabą boćkiem, z polskim zadumanym nad swoją gorzką dolą chłopkiem, z jego kobietą sfrasowaną i bosem, w długich koszulach. dziećmi!

Mieszkańcom wioski najszerzej serce otworzyłaś, ich dolę najgłębiej odczułaś i twoja fujarka prosta, ale, ach, jaka serdeczna, im najwięcej przez całe 25 lat cudownie grała!

Przypatrując się drobiazgowi szaremu, grzebiącemu wiecznie około ziemi, przypatrując się ludowi siermiężnemu, który „jest potężny jak mąż, a słaby jak dziecię“, rzucaś światu pytanie, czy te czoła schylone marzą kiedy o ideałach ludzkości, czy słyszą ciche szmery tajemnych urodzin wielkich idei i czy wierzą, że mroki, które ich dziją



prycmiewają, przeważają się kiedyś, i że jaśniejsze słońce im zaświeci? To była troska Twoja, i całkiem słuszna, bo jeżeli miliony chłopstwa będą myśleć jedynie o tem, jakby zdobyć większą miarkę ziemniaków, — jeżeli chłop żyć będzie „bez miłości i zapału, bez czci ideału, to choćby przeszli góry całej ziemi, powrócą, jak żebracy, załamawszy ręce w strasznej głodzie męce“ — i Ojczyzna na nich oprzeć się nie będzie mogła, a bez nich niema żadnej nadziei dla polskiej naszej ziemi.

A wiedząc, że-lud jeszcze za mało o ideałach marzy, każesz „szerzej rozniecić ognisko i bratnim uściskiem rozgrzać pierś ludu skrzeplą i wyżej podnieść sztandary, aby nędzarz dojrzał walczących z ciemnotą“.

I ziarno Twe nie padło na całkiem ciernistą glebę — bo oto my coraz bardziej marzymy i marzyć o wyższych celach będziemy. A kto, widząc świt, drży i krzyczy na cały kraj, że to pożar na dachu, ten jest „winowajca“, „a kto dnia gwiazdę zdmuchnąć chce

złotą, ten — „albo sam jest rażony ślepotą, albo dłoń chciwą wyciąga już oto po zdobycz łatwą wśród zmierzchu i trwogi“.

A jeżeli Cię miłować ma już kto za co, to my, ludowcy, którym pieśń Twoja, — pieśń otuchy i wiary w promienną przyszłość dodaje sił w walce o lepszą dolę ludu.

O, żyj-że nam, Czcigodna Poetko, w jak najdłuższe lata — razem ze skowronkami śpiewaj polskiemu ludowi, — a w szczególności polskim oraczom, abyś dożyła tej chwili, w której lud polski, rozgrzany Twą serdeczną pieśnią, krzyknie milionowym głosem: Jestem!

Żeś swą pieśń poświęciła przeważnie dla ludu, który Ci nie ma czem jeszcze dziś zapłacić, przyjm Poetko od tych, co Cię znają, rozumieją, jak niemniej i od tych, którzy kiedyś Twą pieśnią zagrzewać się będą do wielkich czynów, staropolskie a serdeczne: Bóg wielki stokrotnie zapłaci!

*Jakób Bojko, wójt z Gręboszowa*

## KU CZCI KONOPNICKIEJ.

*Niech Ci życie płynie  
Szczęściwie, wesole,  
A płon Twojej pracy  
Oglądaj wokoło.  
Idź z pochodnią w dłoni  
Przed ludźmi przewodem,  
Jak Chrystus na ziemi,  
Przed wielkim narodem.  
Uzbrajaj nam ducha,*

*Zagrzewaj słowami —  
Wzniesiesz ołtarz Bogu  
Ludzkimi sercami.  
A taką oliwą  
Przebląga się Boga  
Ażby powstała  
Nasza Polska droga...*

*Wojciech Zawada, włościanin z Dąbrowicy.*



# BITWA POD STOCZKIEM.\*)

ADAM MICKIEWICZ



Zazdroszczę Atyli\*\*), który stoczył tysiąc bitew, a w tysięcznej jeszcze czuł w sobie rozkosz rzezi. Oj, był to krwawy rozpustnik, ten stary hetman! Co się mnie tyczy, piastującego stopień sierżanta lekkiej artylerji, wyznaję, że zaprawdę zakochany byłem w wojence, ale tylko przez pierwszy tydzień mojego wojskowego zawodu i że Atylowej rozkoszy raz tylko jeden zasmakowałem. Z tej

to przyczyny, nigdy już nie wyjdzie mi z pamięci pierwszy miodowy tydzień i pierwsza bitwa.

Pierwsza bitwa ma szczególniejsze podobieństwo z pierwszą miłością. Ileż nadziei, ile złudzeń przed tą uroczystą akcją, która rozstrzyga o losie narodów! Lada rekrut czuje się powołanym do odegrania co najmniej roli..., jakiego bohatera historii lub powieści.

Przychodzi wreszcie do rozprawy: stajesz do niej z niecierpliwością i pewnym niepokojem, doznając to trwogi śmiertelnej, to znowu szalonej wesołości; już cię strach przeszywa, już cię podnosi pycha tryumfatora. W jednej godzinie przechodzisz przez tłumy wzruszeń i zbierasz wspomnienia na całe życie! lecz, aby to czuć z całą mocą, potrzeba mieć serce rekruckie.

Powiedział ktoś, że każdy człowiek może ułożyć dobrą powieść, opowiadając tylko poprostu historję swej pierwszej miłości. To spostrzeżenie zachęciło mię do opisanja pierwszej bitwy, w której uczestniczyłem.

\*) Bitwa pod Stoczkiem miała miejsce 14. lutego 1831 r. Żołnierze polscy, pod wodzą generała Dwernickiego, zwyciężyli w niej korpus Geismara. Opowiadanie o tej bitwie, które »Zorza« podaje, Mickiewicz ogłosił po francuzku, we francuzkiej gazecie, jest więc ono prawie u nas nieznanne.

\*\*\*) Atyia, okrutny wódz Hunnów, dzikich Azjatów, którzy pustoszyli Europę w V. wieku.

Po wybuchu powstania, dnia 29. listopada, postanowiłem wstąpić w szeregi i rozmyślałem, czy do piechoty, czy do jazdy. Ażeby zrobić stanowczy wybór, przebiegałem ulice Warszawy, przypatrując się bacznie mundurom różnych pułków. Najprzód zatrzymałem się przed bataljonem grenadierów, którzy maszerowali w ściśniętych szeregach, milcząco, w porządku i poważnie. Wszystko wąsacze, z szewronami na ramionach. Były to resztki legjonów Napoleońskich. Kiedy przechodzili, ustępowano im z uszanowaniem i szeptano w tłumie: »To mi żołnierze! to nasi obrońcy!« — Zazdroszczę im, pomyślałem, piękna to rzecz być grenadjerem! — I zbliżyłem się do oddziału, a zająwszy miejsce obok dobosza, maszerowałem krokiem grenadjerskim, upatrując komendanta, któremu chciałem ofiarować swoje służby.

Wtem, na drugim końcu ulicy, ukazało mi się nowe zjawisko wojskowe. Był to krakus na białym koniu, w białej sukmanie, w czerwonej czapeczce z białem piórkiem; przerynał, jak łabędź, czarne fale mieszcuchów. Ślicznie wymijał koniem; pieszych witał skinieniem głowy, z kawalerzystami ścisnął się za rękę. Oczy wszystkich zwróciły się ku niemu; mężczyźni klaskali, kobiety uśmiechały się w milczeniu, — piękny krakus stał się bożyszczem chwili.

Przyszło mi zaraz na myśl, że w mundurze krakowskim, na mój wiek i wzrost, będzie mi bardziej do twarzy. A tak objawiło mi się moje właściwe powołanie: — Bóg mię stworzył krakusem!

Zwróciłem się więc w stronę koszar jazdy; ale w połowie drogi wpadłem w niezmierny tłum, który mnie porwał ze sobą i uniósł ku rogatkom. Lud się cisnął na spotkanie nowo nadciągających szeregów. Osobliwsza figura jechała na przodzie: był to stary kapucyn w habicie i na koniu, w jednej ręce miał lancę, a drugą błogosławił krzyżem lud, który mu nogi całował. Za kapucynem postępowało tysiąc strzelców z lasów augustowskich. Mieli przewieszone dubeltówki i wielkie torby borsucze z pazurami i wyszczerzonymi zębami, bielejącymi na zielonych kurtkach. Drugi tysiąc wieśniaków, uzbrojonych w krzywe kosy i siekiery, zamykał pochód. Nigdy wejście naj-



piękniejszych pułków, nawet wejście księcia Józefa na czele zwycięskich legionów, nie wzbudziło takiego zapału, jak ten, z którym Warszawianie witali torby borsucze i łyczane łapcie \*). Nie były to już oklaski, ani śmiechy, ale krzyki, grzmiące: *hura!* i błogosławieństwa, pomieszane z głośnym płaczem. Lud bowiem, dziwnym swoim instynktem, umiał uchwycić wzniosłą i piękną stronę obrazu. Na widok tych kapłanów, tych wieśniaków, co porzucili cele klasztorne i swoje bory, ażeby się bić z wrogiem ojczyzny, lud zrozumiał całą grozę niebezpieczeństwa, oraz pojął z całą ufnością, że to jedyny środek obrony.

Wzięła mię nagła pokusa porwać natchmianst za kosę lub dubeltówkę i stanąć do szeregu z chłopami, by z nimi podzielać tryumfalne wejście do stolicy. Ale jakże to zrobić? jak nadać sobie ruchy zuchowate i wyzywające kosynjera mazowieckiego, lub wyraz ponury i dziki strzelca z nad Niemna? Jak wyrównać im wzrostem i szerokością pleców? Wśród tych olbrzymów wyglądałbym, jak królik między wilkami.

Cóż więc pocznę ze sobą? Czy mam być krakusem, czy grenadjerem? Niepewność ta dużo mię kosztowała.

Znajomy mi pułkownik spotkał się ze mną w przechodzie i, klepiąc mię po ramieniu, rzekł:

— Dowodzę oddziałem partyzantów; część moich ludzi wyszła już w pole, ja sam dziś wyruszam z Warszawy, potrzebuję kanonjerów; może wiesz, gdzie ich znaleźć?

— Wiem o jednym — odrzekłem, przybierając postawę wojskową — potrzebujesz kanonjera, oto go masz!

— Zgoda! — rzekł pułkownik — naciągaj mundur i staw się u mnie dziś wieczór, punkt o dziesiątej, czy rozumiesz?

Tegoż dnia o jedenastej w nocy maszerowałem umundurowany przy mojej armacie.

W ciągu marszu ćwiczyliśmy się w użyciu tej broni, a ja tyle dokładałem pilności, że po trzech dniach mianowano mię sierżantem i pod moje rozkazy oddano armatę.

Zdziwiłem się, zmieszałem i niemal zawstydyłem z powodu tak nagłego awansu. Zawróciło mi się w głowie i dopiero po kilku godzinach osłupienia, zacząłem czuć wpływ tej nowej godności. Mimowolnie przybrałem minę marsową i poważniejszą; wyciągnawszy uroczyście prawą rękę, poło-

żyłem ją na mojej własności, na wylocie armaty. Ten kawał bronzu — myślałem sobie — będzie filarem w świątyni mojej sławy; będzie pierwszym stopniem w rycerskim zawodzie, a może... i na tron mię zawiedzie! Dobrze wyclowane działo rozstrzyga nieraz los wojny. A Napoleon od czego zaczął, jeżeli nie od stopnia kanonjera? Pełen tych marzeń, zakochałem się w swojej spiżowej armacie, jak w panie i odtąd zawsze byłem przy niej. Badałem jej wady i przymioty. Tak dobrze wbiła mi się w pamięć, że zrobiłbym z pamięci jej portret. Dźwięk jej głosu znałem tak dobrze, żebym go mógł być rozróżnić wśród huku najwyższej kanonady, choćby pod Lipskiem lub Ostrołęką. Kochana moja armatko! co stało się z tobą? w czyjś ręce popadła? Zapewne nikt cię tak nie popieści, jak ja cię pieściłem. Ta myśl mnie jedynie pociesza. Była to wprawdzie nie wielka ośmioletka, ale dla mnie była ogromna, bo brzemienią całą moją przyszłością. Zresztą dobrze osadzona, łatwa do manewrowania i dziwnie celnego strzału.

Cały dzień ledwo mi wystarczała na spełnienie obowiązków przy kochanej armacie, a i przez noc nie przestawałem myśleć o tym przedmiocie mojej miłości. I tak, jednej nocy śni mi się bitwa, a naprzeciw siebie kogóż widzę? feldmarszałka Dybicza \*). Zaraz biorę go na cel — paf! i moja kula przecina go na dwie połowy. Puszczam się, aby oderwać mu głowę i jeszcze ciepłą zanieść do naszego naczelnego wodza, ale trup Dybicza tak ostro się bronił, że aż się zbudziłem i w rzeczywistości zamiast głowy moskiewskiego wodza, trzymałem głowę śpiącego obok mnie kanonjera.... Innej nocy gorsza rzecz mi się zdarzyła: śniłem, że jazda moskiewska wpadła na nas niespodziewanie i mnie naprzód zabito, potem wycięto moich kanonjerów, a nareszcie kirasjer moskiewski siadł na mojej armacie, jak na koniu i zaczął ją zagwałdzać. spoglądając na mnie okiem pogardliwym. Wtedy, chociaż byłem już trupem z mnym i skostniałym, niemniej dobywałem wszystkich sił, aby dać znak życia i, pasując się ze sobą, wrzasnąłem tak tego, że mi się i sam przebudził i zalarmowałem cały obóz. Zetwawszy się na nogi — właśnie dnieć poczynano —

\*) Dybicz, z pochodzenia Prusak, był głównodowodzącym armją rosyjską w wojnie z Polską w 1831 roku i przed jej ukończeniem zmarł na cholere. (Przyp. Redakcji).

\*) Łapcie — obuwie pływackie z kory lipowej.

szukam oczyma mojej armaty i widzę z nie małą radością, że jest, że spoczywa wolna i spokojna na swojej lawecie. Otwarta jej paszcza zdawała się wciągać chłodek poranka, a lśniąca powierzchnia odbijała pierwsze promienie słońca. Położyłem się znowu na mokrej ziemi, ale tym razem, przez ostrożność, trzymałem w rękę sprychę, ażeby bronić mego skarbu przeciw rzeczywistej lub sennej napaści.

Tak przeszedł cały tydzień, tydzień miodowy sierżanta artylerji, najszcześniejszy tydzień w mojem życiu! Każdą chwilę miałem zajęta w przekonaniu, że już osiągnąłem cel mego bytu na świecie; dusza moja przeszła całkiem w ukochaną armatkę.

Tymczasem zbliżaliśmy się coraz bardziej do brzegów Wisły; lody puściły już w wielu miejscach i widać było tu i owdzie występującą wodę. Pułkownik nasz, z tyką w rękę, pierwszy się puścił na lód, brodząc w wodzie po kolana, potem rozkazał nam iść za sobą. Iść za nim i to z naszymi armatami po tak słabym lodzie? Na ten rozkaz zbladłem, jak śmierć, cała bowiem moja przyszłość wojenna mogła utonąć. Ale przesiadliśmy szczęśliwie i stanęliśmy na drugim brzegu z okrzykiem: Niech żyje Polska!

Tego samego wieczora nastąpiło połączenie się z korpusem, wysłanym wcześniej z Warszawy. Oczekiwał on nas niecierpliwie; młodzi bowiem żołnierze, wysokie mają wyobrażenie o potędze artylerji i bardzo to ich niepokoiło, że w przededniu spodziewanej bitwy nie mieli dział. Posłyszawszy turkot kół armatnich, cały obóz nie posiadał się z radości, że nasza artylerja nadciąga! »Niech żyje artylerja!« wołano ze wszystkich stron, żołnierze wbiegli na nasze spotkanie i zawiedli nas w środek obozu.

My także z zapąłem powitaliśmy naszych towarzyszy. Dotąd odbywaliśmy marsze w osamotnieniu, a teraz znaleźliśmy się w tłumie dzielnych żołnierzy, których liczba wydawała się znaczną na oko. To podniosło naszą ufność. Wojska jednak nie było nad dwanaście szwadronów, zajmujących szeroką przestrzeń. Dumnie spoglądaliśmy na las zatkniętych lanc, których nowe chorągiewki jaśniały barwami, nieprzyjmiomnie jeszcze krwią ani kurzem. Po wesołej i huacznej wieczery, pokładaliśmy się spać, kołyszani dźwiękami muzyki wojskowej i śpiewem mazurka.

O świcie, kiedy korpusik nasz wchodził do wsi, doleciały nas pomieszane krzyki. Zatrzymujemy się; wysłano na zwiady i oto

dowiadujemy się, że to okrzyki zwycięstwa! Nasza awangarda pojmała kilkudziesięciu kozaków. Pierwszy to tryumf! Trzeba było widzieć, jak cieszyliśmy się jeńcami. Kozacy ci, brodacze rozbrojeni, szli piechotą ze spuszczonei głowami i kwaśną miną. W miarę, jak przechodzili koło nas, nasi młodzi żołnierze klęli lub grozili. I mnie brała chętka robić to samo, ale obowiązek, przywiązany do stopnia, nie pozwalał na to, więc surowo ich gromiąc, rzekłem: »Polacy! szanujcie nieszczęście! Wątpliwy bywa los wojny! Śmierć naszym wrogom! litość nad zwyciężonymi! Niech żyje Polska!«

Żołnierze umilkli, zdumieni wspaniałością mych uczuć i wymową. Od niejakiego czasu zwrócił moją uwagę stary kanonjer, jadący obok mnie, który raz po raz wspinał się na strzemionach i wyciągał szyję ponad głowy towarzyszy.

— Czemu się tak przypatrujesz, Mateuszu?

— To te bestje, panie sierżancie; niech ich tam kaci porwą... — i wskazał palcem na wzgórze, będące przed nami. Ujrzałem wtenczas, że się coś czerniło na szczycie wzgórza. Byłyż to krzaki, czy kaszkiety piechoty moskiewskiej? Nie miałem czasu przypatrywać się dłużej, nadbiegli bowiem adjutantanci, wołając z całej siły: »Artylerja naprzód! stawać do pozycji!«

Ruszyliśmy, co koń wyskoczy. Padł strzał armatni i kula, zabiwszy nam konia, osypała nas ziemią i poleciała dalej podsakując. Zajęliśmy pagórek wprost nieprzyjaciela, który podwoił ogień.

Szeroka płaszczyzna, obwiedziona krzakami i borem, roztaczała się przed nami. W środku niej, na wzgórzu, zatoczyli Moskale baterję dwunastu ciężkich dział, które osypywały nas kulami i granatami. Za baterję widać było gęste szeregi jazdy, stojącej nieruchomie. Nasza jazda stała też spokojnie, zostawiając pole do działania artylerji.

Zauważyłem, że żołnierze różnej broni zachowują podczas bitwy postawę i wyraz twarzy, właściwy sobie. I tak: artylerzysta nie ma kawaleryjskiej rzutności, ani też niecierpliwości piechura, lecz, bacny na komendę, szybki i dokładny w każdym poruszeniu, zdaje się zachowywać zimną krew, chociaż oczy jego, gryzione dymem, krwią zasłte, brwi zmarszczone, twarz blada, usta ściśnięte, mowa krótka i twarda, wyrażają zażartą wściekłość, tłumioną w piersi.

Śród ognia, mimo że śmierć zmiatała głowy, nie przestawano żartować; każdym



razem, gdy kula odskakiwała, młodzi żołnierze nie omieszkali rozmawiać w nią i dawać jej rady, Gdy odbijająca się kula szła na bok, na lewo, wołano na nią: »Dokąd lecisz, ślepa! bierz się na prawo« — a jeżeli szła prosto, zachęcano ją: »Dobrze! dobrze!« i tak rozmawiano z nią, dopóki nie wpadła w sam środek linii nieprzyjacielskiej, a wtedy dopiero dawano jej brawo.

Już nie wiem, ile godzin trwała ta kanonada. Chociaż gorączkowo uwijaliśmy się przy działach, jednak zabawka ta ciągnęła się za długo, abyśmy nie pragnęli nadejścia nocy. Artylerja rosyjska miała nad nami widoczną przewagę, tak co do liczby, jak i wymiaru dział. Ubito nam już kilku ludzi, wielu było ranionych, pozostali jednak, lubo nadzwyczaj zmęczeni, nie upadali przecież na duchu i nikt ani myślał o odwrocie.

Naraz od lewej strony ryknęły okropnie działa. Moskale właśnie tam postawili nową baterję, którą nas ostrzeliwali z boku. Zwróciliśmy dwie nasze armatki przeciw tej nowej zaczepce, z którą trzeba było pogadać, lecz położenie nasze stawało się coraz przykrzejsze, bo sześcioma połowami armatkami odpowiadać na dwadzieścia dział ciężkiego kalibru — to nie przelewki. Na widok tej nierówności sił, żołnierze nasi wydawali się zmieszani. Już ruchy ich słabły, już wystrzały nasze rzadziej się odzywały, a nawet dykteryjki i żarciki jakoś ustały.

Można sądzić, że dowódca nasz czekał właśnie, aż Moskale rozdziela swe siły, aby skorzystać z tego momentu i uderzyć na nich, tak przynajmniej wnoszę, lubo nie kuszę się mówić o planie bitwy. Tyle wiem, że w najkrytyczniejszej chwili usłyszeliśmy od lewej strony tentent konnicy, pędzącej galopem i w kilka minut potem owa druga baterja umilkła, gdyż była zdobytą.

Nasz dowódca zawrócił i poskoczył ku głównej sile naszych sztandarów, wołając: »Naprzód, kłusem! naprzód wiara!« I cała jazda, uszykowana w dwa szeregi, posunęła się, mijając naszą baterję. »Idą do szarży!« — wołali nasi kanonierzy i zaraz zaprzestaliśmy strzelać.

Jakież to wspaniały był widok! Młodzi ułani z zapalonym wzrokiem, rozognioną twarzą, rwali się niecierpliwie naprzód, ale radzi nie radzi musieli słuchać surowych rozkazów dowódcy, który ciągle powtarzał: »Kłusem! naprzód! kłusem!« Widać było z ruchu chorągiewek, jak gorączkowo drgały ręce żołnierzy. Nakoniec ozwały się trąby, zniżyły chorągiewki i ułani ruszyli na nie-

przyjaciela: »Naprzód! galopem! naprzód! wiara!«

Pędzą! lecą!

— Myśmy zostali przy naszych armatach, beczynnienie, a nawet o niczem nie myśląc. Artylerja, niedawno ruchliwa i hałaśliwa, wydawała się skamieniała. Dusze nasze uleciały daleko i osiadły na ostrzach grotów ułańskich. Oto już są blisko Moskale! Już moskiewskie szeregi formują się na ich przyjęcie. Kanonjerzy powyłazili na lawety, na jaszczyki i patrzą w przestrzeń, podani naprzód, z rozchylonemi wargami; a była taka cisza, że usłyszałbyś lot muchy. Każdy z nas czuł, że od tego starcia zwiśł nasz los, los wojska, może i ojczyzny! Była to chwila oczekiwania i strasznej niepewności, szczęściem trwała kilka minut zaledwie.

Nasi ułani starli się z Moskalami na wyżynie; obie linje zetknęły się ze sobą i pomieszały. W całej masie zawrzało — cała się skłębiła, jak tuman kurzawy, pędzony wiatrem.

Nagle, nie wiem, kto taki, lecz ktoś wśród nas, przerwał grobową ciszę, okrzykiem: »Zwycięstwo«. Nikt mu jednak nie zawtórował, my bowiem, młodzi żołnierze, jeszcześmy nie zrozumieli, ani odgadywali skutku tej bitwy, a przytem lękaliśmy się oddawać przedwczesnej radości. Poczekajmy! ten i ów mówił — dotąd niema nic pewnego, nic nie widać, wszyscy gdzieś się podzieli!...

Nareszcie część masy, która zniknęła nam z oczu, zaczęła się ku nam zbliżać. Poznaliśmy naszych ułanów po kolorach i po okrzyku wojennym: *Jeszcze Polska nie zginęła!*...

Nie podobna było dłużej wątpić: zwycięstwo przy nas! Zbliżająca się masa, przedstawiała osobliwy widok. Widać w niej było mnóstwo pieszych żołnierzy rozmaitej broni, przytem furgony, jaszczyki, działa.... Byli to jeńcy moskiewscy, zabrani z artylerją i całym taborem.

Nie potrafiłbym opisać naszej radości, szalonej radości! Jakto! cała artylerja, ta potężna artylerja, w naszych rękach! Rzuciliśmy się ku zdobytym armatom; ja sam na chwilę zapomniałem o mojej kochance, ośmioletówce.

Piękneż to były te rosyjskie armaty, takie ogromne, nowe, doskonale umontowane i opatrzone we wszystko.

— Patrzno, panie sierżancie — wołał kanonjer Mateusz — patrz, jakie czerwone, jakie błyszczące armaty mają te przeklęte Moskale!

Nie zgadnie nikt przecież, co nam sprawiło największą radość — oto ni mniej ni więcej, jak zwykły owies, zabrany od wrogów. Nasza jazda nie miała już furazów, a Moskale mieli go poddostatkiem; ich furgony, jaszczyki, lawety nawet pełne były owsa. Żołnierze rzucili się nań łapczywie, napełniając worki, ładownice, kieszenie, wołając, że nigdy jeszcze nie widzieli tak pięknego owsa.

Nadjechał wódz, a na jego widok zagrzmiął okrzyk zapału i uwielbienia. Snać bardzo był zmęczony, pomimo bowiem chłodnego dnia, pot spływał mu kroplami z czoła. Otoczyliśmy go tłumnie. Śród ogólnego poruszenia i wybuchów radości, on jeden był spokojny i milczący, choć widocznie wzruszony.

— Dzieci moje — rzekł do nas — przyrzekłem poprowadzić was na nieprzyja-

ciela, wy przyrzekliście go zwyciężyć, a tak ja, jak i wy dotrzyaliśmy słowa.

Taki był koniec pamiętnego dnia pod Stoczkiem. Z zapadającą nocą zaczęły się opowiadania przy obozowych ogniskach. Słuchaczy nie było, bo wszyscy mówili naraz; wszyscy się dzielnie spisali w bitwie, wszyscy byli szczęśliwi.

Jeżeli wybije kiedy dla mnie błogosławiona godzina, w której będę mógł jeszcze walczyć w obronie ojczyzny, widzieć armję moskiewską w popłochu, odszukać moją kochaną ośmioletnią i miotać z niej kule na złociste dachy stolicy carskiej, natenczas nazwę się prawdziwie szczęśliwym. A jednak nawet śród takich fryumfów nie potrafiłbym czuć uniesienia, którego doświadczył w pierwszej mojej bitwie, pamiętnej bitwie pod Stoczkiem.



## List o Marji Konopnickiej.

Ukochana nasza „Zorza“ przyniosła nam wieść o uroczystych obchodach na cześć sławnej polskiej pieśniarki — Konopnickiej. Cała polska ziemia niesie jej hołd i wdzięczność. Za co to spotyka pieśniarkę tak wielką sławą? — Oto napisała ona dużo a dużo tak ładnych piosenek, że czytając je, czuje się w sercu jakieś niewysłowione rozkosze. Bo też ślicznie opisuje nasze wioski, nasze pola i ugory, nasze rzeki, lasy, góry, nasz lud i nasze niedole. Nie każda z Was, kochane siostrzyczki po „Zorzy“, miała szczęście przeczytać te śliczne wiersze, bo były one drukowane w drogich pismach, a książki, w których wszystkie razem zebrano, są drogie. Mnie jedna pani pożyczyła do przeczytania aż cztery takie książki z pieśniami Marji Konopnickiej, a wszystkie takie miłe, takie serdeczne, że czytałam je po kilka razy, a nawet uczyłam się na pamięć. Nie są ci one zresztą tak trudne. Aż się proszą same, żeby je śpiewać. Bo jakżeż to nie nauczyć się tak pięknego wierszyka i nie zaśpiewać, idąc w pole ze sierpem:

Czemuś ty mi, życie,  
Nie dało do ręki  
Srebrzystego sierpa,  
A w usta piosenki?

Czemuż ja nie wstałam  
Z zorzami rannemi,  
By żąć nasze żyta  
Na czarnej tej ziemi?

Widać, jak pieśniarka zawidzi nam,  
zniwiarkom, jakby chciała iść razem z nam.  
w pole z sierpem i razem z nami śpiewać!

Albo:

Gdybym srebrne piórka miała,  
Tobym w szronie je maczała,  
W rannym szronie, na tej łące,  
Gdzie brylanty leżą drżące.  
Leżą drżące, rozsypane,  
Błędem słonkiem malowane,  
Na naszej łące!

Czasem aż płakać się chce, gdy się czyta, jak ona ukochała to wszystko, co my kochamy, jak ona tęskni do tego wszystkiego, co piękne, a nam tak drogie — to jest do naszej ziemi polskiej, rodzinnej:



Leciećbym chciała daleko, daleko...  
 Gdzie z brzoź płaczących srebrne rosy cieką,  
 Kędy szum lasów pierś przejmuję drzeniem...

Leciećbym chciała tam, gdzie olcay rosna,  
 Gdzie głogi dzikie zakwitają wiosną,  
 Gdzie się powoje, jak bańki dziwna plotą...

Leciećbym chciała za jasnym gździe zrodem,  
 Myśl puścić wolno, jak wody bieżące,  
 I widzieć tylko łąn zboża i słońce!...



A kiedy się wyjdzie na pole i rozejrzy  
 po ślicznej naszej ziemi, to aż się prosi  
 zaśpiewać taki oto wierszyk:

Oj wy, ptaszyny, pewno nie znacie,  
 Naszej bielonej chaty,  
 Ani ogródka mego przy chacie,  
 Gdzie kwitną kraśne kwiaty?  
 Pewno nie znacie tej dzikiej gruszy,  
 Szumiącej w drobne liście,  
 Ani Stasiénka, co gra od duszy  
 Tęskliwie, a ognście.

Pewno nie znacie mgieł tych, co z rana,  
 Po łąkach tak się wloką,  
 Że trzeba w srebrze brnąć po kolana,  
 Jak tylko zajrzy oko.

Ani tej tęczy, co ziemi sięga,  
 Na pańskim hen, folwarku,  
 Jak najognistsza w kolory wstęga,  
 Kupiona na jarmarku.  
 Ani tej łąki, gdzie pachnie siano,  
 Złożone przede żniwy...  
 Ani ugoru, gdzie gna co rano  
 Owieczki owczarz siwy...

Ani tych dymów, co się tam ściągą,  
Jesienną wróżąc słotę...  
Ani taneczka z huczną kapelą  
Ludziskom na ochotę...

Ani tej zorzy, co, hen, za górą  
Na wyścig ze mną wstaje,  
A tak się spieszy wyjść na podwórko,  
Aż mnie matusia laje...

Pewno nie znacie tego przelazka,  
Kędy po wodę chodzę,  
A Stacho do mnie, jak do obrazka,  
Modli się tam przy drodze...

Ani tych dzwonów z kościelnej wieży,  
Co we mgłach kędyś toną,  
Ani mogiłki, gdzie tatuś leży,  
Pod darnią, pod zieloną...

Ani tej ciszy, co w chaty progu  
Z palcem na ustach siada  
I słucha: Kto się poleca Bogu,  
Kto krzyż na czoło wkłada...

Ani świerszczyka, co przy kominie  
Ćwierka, schowany w dachu,  
Ani snów dziwnych o rozmarynie...  
O druzkach... to o Stachu...

Bo gdzieżby wam też, mój mocny Boże!  
Na głody, chłody, troski,  
Za siódmą górę, za siódme morze,  
Ot, z takiej lecieć wioski...

Prawda, jaka cudownie śliczna piosenka?  
Jedną jeszcze pamiętam i powtarzam  
nieraz w zimie pod kądziałą:

W chacie u mego siedzę okienka,  
Cieniuchną nitkę wysnuwa ręka,  
Przedemną kądział siwa, brodata  
A oczy — lecą na koniec świata...

Małe okienko, ale kto umie patrzeć,  
ten wiele przez nie może zobaczyć pomi-  
mo, „że na tym małym otworze wiesz-  
a się mgła, jak smutki“:

Z mego okienka widać na lewo  
Ogromne, stare, spróchniałe drzewo,  
Co, powiadają, zakwitnie wtedy,  
Jak już na świecie nie będzie biedy...  
Ni ludzkiej krzywdy, ni poniewierki,  
Ani wojenki, ani żołnierki,  
Gdy każdy w własnej chacie zasiądzie  
I wszystkich braćmi nazywać będzie...

A tam na prawo, gdzie Boża męka,  
Widać, het, pole z mego okienka,  
Po między tatuś w zamysłach chodzi:  
Czy też zarodzi? Czy nie zarodzi?...

Oj, głód, to straszna jest kara nieba...  
Ojcie nasz, daj nam czarnego chleba!  
Zapał nam słonko najświętszą ręką  
I rzuć promyczek w każde okienko!...

Ale za dużo już się rozgadałam. Powiem  
więc już tylko, że spełniło się życzenie,  
które poetka wypowiedziała w słowach:

Ktoby mi to dał, o Boże,  
Ktoby mi to dał,  
Aby pieśni moje były  
Naksztalt złotych strzał!  
I leciały w dal błękitną

I leciały w dal,  
Gdzie bławatki modre kwitną  
Wśród żytnich fal!

Poznajemy bowiem coraz bardziej jej  
cudne pieśni i będziemy je śpiewać pod ką-  
działą, w ogrodzie, w polu. A skowronek,  
od którego pieśniarka zapożyczyła sobie  
nuty, a słonko, które „wysoko po niebie  
chodzi, patrząc na piękno naszych siół,  
a las, co tęskno szumi jesienią“, będą się  
cieszyć razem z nami i razem z nami mo-  
dlić się do Boga, aby ojczyzna nasza droga  
doczekała się zmartwychwstania ziarn, „co  
w roli przebyły zimę wiekowej niewoli“ —  
jak tego pragnie gorąco Jubilatka...

*Różia Denysówna.*



## Obchód jubileuszu Poetki.

W ostatnich tygodniach imię wielkiej po-  
etki było na wszystkich ustach i we wszyst-  
kich sereach.

Dwa wielkie miasta, Kraków i Lwów, uczeły  
— każde z osobna — dwudziestopięciolecie Jej  
pracy literackiej wspaniałymi obchodami.

Kraków w zaprosił Poetkę do siebie w gościnę  
na 19. października. Uroczystość rozpoczęła się  
w sobotę wieczorem w teatrze miejskim. Teatr  
był przepelniony. Przybyły delegacje ze wszyst-  
kich ziem polskich, a także bardzo liczna pub-  
liczność krakowska.

Zgromadzenie bardzo gorąco przyjęło Jubi-  
latkę, gd ta ukazała się w teatrze. Odegrano  
przerobione na scenę utwory Konopnickiej:  
„Miłosierna gmina“, „W piwnicznej izbie“  
i „Bociany“. Oprócz tego deklamowano poezje  
Jubilatki.

Nazajutrz, w niedzielę, po nabożeństwie  
w kościele N. P. Marji, zebrali się uczestnicy  
w wielkiej sali „Sokoła“. Sala była przybrana  
bardzo ładnie dywanami, kwiatami i bukietami  
z maków i bławatów. Na podniesieniu usta-  
wiono namiot dla Jubilatki, rozpięty na kosach.  
Obok stanęły liczne delegacje. Gdy Jubilatka  
weszła do sali, przywitani ją zebrani okrzykiem  
„Niech żyje!“ Publiczność zebrana była w liczbie  
2000. Konopnicka zajęła miejsce pod namiotem.  
Zabrzmiął polonez, potem śpiew, zaczęły na-  
stąpiły przemówienia.



Pierwszy przemówił K. Bartoszewicz, jako prezes krakowskiego komitetu, urządzającego obchód. Z kolei złożył życzenia imieniem m. Krakowa prezydent.

Imieniem Akademii Umiejętności złożył adres prof. dr. K. Morawski. Imieniem Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. dr. Tretiak.

Z kolei zbliżyła się p. Paulina Maternova, wysłanniczka kobiet czeskich. W bardzo pięknej mowie czeskiej wyraziła radość, że może reprezentować naród czeski, wszystkie jego kobiety i ich imieniem powitać jubilatkę. Nie tylko nad Wisłą, Niemnem i Wartą znają poezję Konopnickiej, ale także w Czechach, nad Wełtawą i Labą. Tu i tam poezje te budzą nadzieję lepszego jutra. Tu i tam autorka jest znana i miłowana.

Dalej mówiła p. Maternova po polsku.

W dalszym ciągu składały adresy i dary następujące deputacje: Delegacja m. Warszawy złożyła snop „kłosów, tej ziemi“, — jak zaznaczył mówca — „którą Konopnicka tak ukochała“. Procz tego były delegacje młodzieży Uniwersytetu i Politechniki warszawskiej, dzieci warszawskich, delegacje z Litwy, Ukrainy, Zaporozża, Łodzi, Lublina i Kalisza.

Licznie przybyły deputacje z Poznańskiego, mianowicie 21 pań i 2 panów. Imieniem Tow. „Warta“ złożyła p. Tułodziecka bukiet z kłosów pszenicznych z szarfą, na której był napis: „Wieszczce narodowej, co wskazała nam drogę pracy i ofiar, w dniu srebrnych jej godów szle pozdrowienie Towarzystwo „Warta“. P. Omańkowska złożyła adres od dzieci poznańskich, opatrzony 500 podpisami. Oprócz tego były deputacje pań poznańskich i Czytelni kobiet w Poznaniu. Z Bytomia, z Górnego Śląska, przybyło grono Ślązaczek. Gdy się zbliżyły do namiotu, Jubilatka powstała, podeszła ku nim z otwartymi ramionami i tuliła je do piersi z płaczem. W oczach kobiet również łzy zabłysły.

Dalej szły deputacje: Kolonji polskiej w Berlinie, emigracji polskiej w Rapperswyłu, młodzieży Batignolskiej, komitetu lwowskiego jubileuszu Konopnickiej, rady pow. białskiej, delegacja pań lwowskich, delegacja pań z Kęt i Brzeska, Tow. „Pracy kobiet“ z Kołomyi, Czytelni lwowskiej młodzieży, „Bratniej Pomocy“ lwowskich akademików, kraj. Szkoły haftu w Krakowie, Tow. „Eleuterja“ we Lwowie, delegacja miasta Podgórze.

Następnie na podniesienie weszła deputacja ludu wiejskiego z Włodzimierzem Tetmajerem, Łucjanem Rydlem, Jakóbem Bojką i Franciszkiem Wójcikiem.

Po mowie Tetmajera przyprowadzono do poetki dwoje małych dziewcząt. Jedna z nich

wypowiedziała słowa: „Kochamy panią“. Dalej składały życzenia: krakowskie Koło literackie uczniowie Akademii sztuk pięknych, dyrektor teatru miejskiego, teatr ludowy, krakowskie Tow. muzyczne, Zarząd główny Towarzystwa Szkoły ludowej, krakowskie Koło pań Towarzystwa Szkoły ludowej, stowarzyszenie nauczycielek, tow. miłośników historii i zabytków Krakowa, Bursa kobiet im. Baranieckiego, słuchacze Uniwersytetu Jagiellońskiego, działka szkoły ludowej w Podgórzu, Koło artystek malarek polskich, Tow. gymnast. „Sokół“ w Krakowie, młodzież szkół średnich w Krakowie, gimnazjum żeńskie w Krakowie, dzieci górnośląskie, czeska Beseda w Krakowie, stow. im. Kraszewskiego, górale z Poronina, weterani z r. 1863.

Gdy wszystkie delegacje złożyły dary, adresy i życzenia, zabrała głos Marja Konopnicka i przemówiła w te słowa:

„Dziękuję Wam! Dziękuję Wam za ten dzień jasny, któryście mi zgotowali! Dziękuję Wam za wasze gorące serce, za wyciągniętą do mnie dłoń, za to wzruszenie, które na twarzach waszych widzę, a którym sama do głębi jestem przejęta.

„Dziękuję nade wszystko za to, żeśmy tutaj wszyscy razem, że nas nie rozdzieliły granice, ani nie rozdzielił podział, że nie brakuje nikogo, tych nawet, co długo na uboczu stali, a teraz oto są z nami i dzielą z nami nasze smutki i naszą radość.

„Patrzę w pracę mego życia i patrzę w odpłatę, jaką mi niesiecie i czuję się zawstydzoną, bo mi tu nadpłacono sto i tysiąckrotnie, bo praca była uboga i drobna, odpłata była wielka i królewska, bo praca była na miarę jednej duszy ludzkiej, odpłata była na miarę wielkiej zbiorowej duszy narodu. — Odpłata tak ogromna byłaby niepojęta zgoła, gdyby przyczyna, tkwiąca w naszym wyjątkowym położeniu politycznym, nie była tak prosta i jasna. Owo to wyjątkowe położenie nasze sprawiło, że naród, któremu w tak znacznej mierze odjęto moc działania, posiada nadzwyczajną moc czucia: w pieśni jednoczy się w nim daleko więcej dusz, niż w jakimkolwiek innym społeczeństwie.

Pieśń uznaje za jedną z najżywoźniejszych manifestacji swego istnienia i szuka w niej bezpośredniego wyrazu na swoje uczucia.

Pieśń nasza ma osobne uczucie, jakiego inne pieśni nie mają. Ona, jak naród nasz, jest w niewoli. Zaprawdę, dzień pieśni mojej nie był dniem wesela — nie śpiewałam jej pełnym głosem na jasnych polach swobody, nie świecił nad nią jasno promień narodowej pomysłowości, nie krzepiła jej ona. Pieśń moja była stłumiona, często zduszona i niedośpie-

wana, ale wyście sobie ją dośpiewali w duszy, wyście zrozumieli nie tylko jej słowa, ale także i jej milczenie i tłumaczyliście to milczenie w piersiach waszych.

A teraz oto przyszliście.

Uczucia duszy waszej były uczuciami mojej duszy, bo wasze to serce w niej biło, wasz żal, wasza tęsknota w niej drgała, wasza nadzieja barwiła ją kolorem wiosny.

I stoję przed wami, a na lutni mojej duch ludu mego palce kładzie, iżby wygrał na strunach jej nieco żałości swojej i nadziei.

Oto najwyższa jest nadzieja, iżby jeden duch ożywił naród cały, a ta nam się spełniać zaczyna. Z dumą i radością patrzę na uczestnictwo ludu w tem święcie narodowym pieśni, bo ci byli daleko, a oto są bliscy, bo szli nieraz w rozdwojeniu, a oto wchodzą do jedności ducha narodowego.

Bo i cóż was przywiodło, bracia, z wioski waszych, jeżeli nie miłość dla waszej ojczystej mowy i cześć dla drogiej nam i wspólnych wszystkim nam ideałów? A kiedy możemy mieć wspólne ideały, to i cele wspólne mieć możemy, a mając wspólne cele, możemy ku nim razem iść, a idąc ku nim razem, możemy mieć siłę i nadzieję, że dojdziemy.

Za ten widok na zorzę dni przyszłych, żeście otworzyli go dziś oczom moim, dziękuję wam z głębi wzniezionej duszy, „gdybym wam nawet serce całe wyśpiewała, jeszcze całej mej wdzięczności wyrazić nie zdołam“.

Na zakończenie chór Tow. muzycznego odśpiewał pieśni ze „Śpiewnika dzieciniego Marji Konopnickiej. Zebrani wnieśli okrzyki na cześć Konopnickiej i odśpiewali: „Boże coś Polskę“.

Popołudniu odegrano w teatrze miejskim „Kościuszko pod Racławicami“. W teatrze przemówił Fr. Wójcik. — W teatrze ludowym odegrano popoł. „Czartowską ławę“. Przemawiał p. Bojko.

**Lwów** wybrał sobie na dzień obchodu też niedzielę — 26. października.

Jubilatka przybyła z Krakowa na dworzec kolei o godz. 9-tej wieczorem. Już na godzinę przed przybyciem pociągu tysiące osób zapełniło dworzec, młodzież akademicka utworzyła szpaler obok dworca, młodzież gimnazjalna uszykowała się wewnątrz dworca u wejścia.

Członkowie komitetu powitali Jubilatkę przy wysiadaniu z wagonu i zaprowadzili ją do poczekalni, zapełnionej szczelnie. Odezwały się długotrwałe okrzyki: „Niech żyje“ i zagrała muzyka kolejowa, ustawiona obok sali.

Po kilku przemówieniach podano Jubilatee mnóstwo kwiatów. Odezwały się znowu okrzyki: „Niech żyje!“ — A gdy Jubilatka wsiadła

do powozu, zaprzęzonego w białe konie, tłum otoczył go w tej chwili, a młodzież akademicka z płonącymi pochodniami w rękach, ustawiła się po obu stronach ulicy na przestrzeni niemal całego kilometra.

W połowie płomienistego szpaleru zatrzymano powóz. Zbliżyła się deputacja młodzieży z wieńcem palmowym „od młodzieży akademickiej ze Lwowa i Dublan“ i wręczyła go Jubilatee, która serdecznie podziękowała, kończąc swe przemówienie słowami: „Niech żyje młodzież akademicka, zorza przyszłości!“

Takie było powitanie jubilatki we Lwowie. Właściwa zaś uroczystość odbyła się nazajutrz w południowych godzinach, w teatrze.

A teatr skrzył się cały tłumem strojnym. Czar poezji, słowa natchnionego moc spłynęły na wszystkie światła, kwiaty, wstęgi złociste i czerwone, na wieńców stopy. I stała się pełna sala uroku, niybo wiosny złotej, niybo pieśni takiej szerokiej, natchnionej, która z serce płynie tysiąca, z duszy zbiorowej hymnem się toczy poważnym.

A wszędzie było pełno imienia Jej i sławy.

Aż wreszcie z zewnątrz idące tony muzyki oznajmiły przyjazd Jubilatki. Na to hasło rozkołysał się tłum olbrzymi, tu zgromadzony, oczy wszystkich zwróciły się ku wyjściu, a za małą chwilę... burza oklasków i gromki okrzyk... „Niech żyje!“

U wchodu zabieliła się postać w jasnej szacie, w otoczeniu kilku osób. Okrzyki rosły, entuzjazm ogarnął wszystkich. Marja Konopnicka przeszła, wśród niemilkających oklasków i okrzyków, na podniesienie, gdzie było ustawione dla niej krzesło. Pierwszy powitał ją imieniem miasta prezydent, dr. Małachowski, pięknie przemówieniem.

Podaniem ręki podziękowała Jubilatka gospodarzowi miasta za ciepłe i serdeczne słowa, zaczem zblizali się kolejno reprezentanci lwowskich najwyższych zakładów naukowych i złożyli adresy.

Potem przemawiało bardzo wiele jeszcze osób w imieniu przeróżnych instytucji i stowarzyszeń, aż mistrz ceremonji wywołał głośno: „Towarzystwo uczestników powstania z roku 1863“, i przed Jubilatką stanęło kilka postaci osiwiiałych, wiekiem i trudem ongi wojennym ku ziemi schylonych. Na widok weteranów walki o wolność narodu, powstała Jubilatka, wzruszona do najwyższego stopnia, zblizając się do nich z otwartymi ramionami. W całej widowni i na scenie powstał zapał nieopisany. Oklaskom i krzykom nie było końca. A oni stali, ci nasi bojownicy, cisi i milezący, z hołdem niemym dla tej, która po krwawych zawodach podjęła pracę nową i nowe trudy. Była



to chwila iście rozrzewniająca. Aż wreszcie przemówił imieniem powstańców jeden z nich, zaznaczając, że nie powinno braknąć hołdu od tych, co przed laty 40 za broń chwycili, z myślą, aby równocześnie porwać do walki i pracy narodowej lud siermiężny, którego pieśniarka nasza od lat 25 jest wymowną rzeczniczką.

Przyszli potem ci, którym mówić nie wolno: kilka kobiet z ziemi, zabranej przez Moskali i student w mundurze, wydalony stamtąd. — Publiczność powitała ich okrzykami i wielkim zapalem, a Jubilatka z rozrzewnieniem uściśnięta i ucałowała rodaczki z zakordonu. A one, ciche i milezące, przeszły i znikły, zostawiając po sobie myśli tyle i ból, który ścisnął serca wszystkich obecnych, na myśl o tylu, tylu milionach, w jarzmie niewoli jęczących. Ból ten i rozrzewnienie wzrosły jeszcze na wspomnienie Wrześni, której wyrazem była Nepomucena Piasecka (z Wrześni) z 6 dzieci, przybyła również hołd złożyć Jubilatce. Jej dzieciarnia mała kołem otoczyła Jubilatkę, całując ją po rękach. A Ona — poetka — najmłodsze dziecię podniosła i ucałowała serdecznie, wśród zapalu, którym wrzało całe zgromadzenie. Najstarszy syn Piaseckiej złożył gałązkę palmową z wstążkami i napisem: „Marji Konopnickiej — Młodzież gimnazjalna“.

Następnie złożyły hołd i kwiaty pieśniarce dzieci, których było kilka ślicznych gromadek.

A wtem na nowo się burza oklasków zerwała. Przed Jubilatką, w jedną całość przy pomocy wzorzystej wstęgi sprzegniętej, stanęły delegacje Słowian południowych. Obok siostrowanej Chorwacji, wciąż bojującej o wolność, stały dzieci Bułgarii i Serbji. Wyszli z gleby, bolem przesiąkniętej, gdzie wichur żalność na lasy niesie, gdzie dola płacze. Po pięciu wiekach niewoli ciężkiej szli oni ze wzrokiem, zwróconym w podniebne szlaki. „Przyłóż więc dłoń ciepłą i do ich serc, żarem wolności przesiąkniętych“ — wołał ich mówca wśród grzmiących okrzyków: „żiwio!“, któremi हुआ театр, witając następnie przemówienie Chorwata, Serba i jeszcze jednego delegata bułgarskiego. P. Konopnicka dziękowała z rozrzewnieniem, wśród niemilkających okrzyków: „żiwio!“, pod adresem braci z dalekiej Słowiańszczyzny. Delegaci ci trzymali na ramiach trójbarwną wstążkę, ozdobioną kwiatami i napisami, opasawszy się nią wkoło, na dowód łączności. Każdy z mówiących złożył Jubilatce adres w rodzimym języku.

Następnie zbliżyła się deputacja „Czeskiej Besedy“ we Lwowie, witając ją przez usta dra Kuczery, który przemówienie swoje, piękne,

najpierw czeskie, a potem polskie, zakończył gromkim, a przez publiczność powtórcznym okrzykiem: „Na zdar!“

Złożyła następnie swój wieniec i życzenia młodzież akademicka, politechniczna, akademji rolniczej w Dublinach, szkoły weterynarii i szkoły leśnej. Dalej „Sokół“ lwowski, „Sokół“ w Czortkowie, Towarzystwo pedagogiczne, Stowarzyszenia nauczycielek, Nauczyciele szkół lwowskich, Związek nauczycielski b. seminarzystek i z wielkim zapalem powitane nauczycielki ludowe.

Deputacje włościańskie rozpoczęła grupa włościan w barwnych strojach krakowskich, z kolonij mazurskich, zwanej „Konopnicą“, mężczyzn, kobiet i dzieci. Dziewczęta niesły kwiaty i snop zboża, ucałowała je i ścisnęła z rozrzewnieniem Jubilatka, za nimi kilkudziesięciu włościan z Zubrzy i Sokolnik wręczyło wieniec z kłosów. 12-letni chłopak wiejski, Maciej Białek, głośno i śmiało powiedział słów kilka, dziękując za piękne pieśni, w szkolnych książkach zawarte, które uczą kochać ziemię rodzinną, przyrzekając zarazem, że tak będą kochać ziemię, jak ich poetka nauczyła.

Przesunęły się dalej deputacje: „Towarzystwa Szkoły ludowej“, „Kółek rolniczych“, „Tow. pracy kobiet“, „Czytelnia szkoły ludowej im. Marji Konopnickiej“, „Tow. oświaty ludowej“, „Teatr ludowy“, „Tow. oszczędności kobiet“, „Koło panien“, opiekujących się biedną dziatwą, „Ognisko kobiet“, Delegacje: „bukowińska“, „kołomyjska“, „stanisławowska“, z „Żółkwi“ i „Janowa“.

Teraz nastąpiły stowarzyszenia rękodzielnicze ze sztandarami: „Gwiazda“, „Skala“, „Tow. polskiej młodzieży rękodzielniczej im. Jana Kilińskiego“, „Wspólność“, Stow. „Czytelnia kolejowej“, Ochotniczej straży ogniowej „Sokół“ ze sztandarem, „Jedność“ i „Przyjaźń“. Wreszcie ostatnie w tym imponującym szeregu, mile bardzo witane przez Jubilatkę, były deputacje Stow. „robotnic drukarskich“, „Równość“ i „Szkoła sług“.

Skoro już przeszły wszystkie te, w liczbie około 60, deputacje, zabrała głos Jubilatka i ze łzami w oczach przemówiła, jak następuje:

„Olsniona przybyłam — a oto nowy blask we mnie uderzył.

Przyszłam wzruszona, a oto nowe drzenie duszę mą przenika. Zawstydzona przyszłam — znów zawstydzona jestem, bo dobroć Wasza i Wasza łaska wyższe są nad zasługę moją. Jak kropla rosy jestem, w której się odbija isłońce.

Zeście przygarnęli pieśni moje, dziękuję Wam. Zeście dali im wybujać, dziękuję Wam. Za to złote dzisiaj żniwo, dzięki Wam.

Zeście byli pieśni mojej siłą i natelnieniem, dziękuję Wam. Zeście jej niedograne dźwięki i niedospiewane pragnienia czuciem odgadli, dziękuję Wam.

Usłyszałam tu słowa, które mi będą skrzydłem mocnym i w górę rwącym. Słyszałam mowę słodką i pełną otuchy.

Przemówiły tu do mnie wszystkie serca, a jest to pieśni mojej na drogę zem świadectwem. bo i ona do wszystkich serc przemawiała. dla wszystkich pragnęła siły życia. Chciała miłości dla ziemi, wyznawców dla ideałów, chciała światła dla ludu, cześć dla pracy, chciała bojowników dla idei tryumfu prawdy i dla wszystkich chciała jedności.

Teraz, gdy patrzę na Was, zebranych z różnych dziedzin i obszarów, gdy obok dostojników widzę przedstawicieli wiedzy, widzę młodzież, lud i wszechpracowników wielkiego warsztatu życia, — do głębi duszy czuję się przejęta wzruszeniem i najradośniejszym uczuciem wdzięczności.

Oto stoimy tu wszyscy, jako służebnicy narodu, pod sztandarem wspólnej pracy dla przyszłości, której składamy nasze siły i nasz dorobek duchowy.

Ja śpiewałam, wyście walezyli, ja byłam słowem, wy czynem. A jeżeli pieśń moja Was budziła, to i sama biciem serca, tętnem Waszej duszy była budzona. Na jaki dzień, na jaki

ból, na jaki trud, nie wiem, ale jakkolwiek będzie ten trud, zwycięstwem zakończyć się musi, gdy będziemy razem.

Bojownicy różnych pól, zapatrzeni w jutrenkowe świty, idziemy razem, ufni i silni nadzieją, idziemy ku wolności.

\* \* \*

Uroczysty obchód zakończył się śpiewami, muzyką i deklamacją.

---

## ROZMAITOŚCI.

**Rocznica narodowa.** Dnia 29. listopada święcić będziemy rocznicę walki o niepodległość narodu polskiego.

Walka owa rozpoczęła się w nocy z 29-go na 30-go listopada i dla tego nazywa się — jak wiemy — powstaniem listopadowym. Nie osiągnęła ono wprawdzie ostatecznego celu, nie uwolniła Polski z pod obcego jarzma, ale po tej nocy pamiętnej „dziewięć miesięcy nastąpiło, wielkich nadzieją, wiekopomnych chwałą“, — ale naród polski, wolny i orężny, mówił światu krwią, obficie przelewana, bohaterstwem i śmiercią na polu bitew, że nie jest i nie będzie nigdy narodem niewolników, że pierwej czy później potrafi odzyskać to, co mu droższe nad życie: Wolność!

A więc chowajmy w duszy, jako skarb drogi, wspomnienie owych dni wielkich, a bohaterom, co głowy swoje położyli za Ojczyznę, oddajmy miłość naszą i naszą cześć!




---

T R E Ś Ć: Idą ku tobie. — Marya Konopnicka do Ludu. — Z łąk i pól. — Maryi Konopnickiej, z pod strzechy słomianej. — Ku czci Konopnickiej. — Bitwa pod Stoczkiem. — Lit o Marji Konopnickiej. — Obchód jubileuszu Poetki. — Rozmaitości.